



Przełożył Bogumił Luft

Wiedeń u stóp wulkanu

„Das Bild ist eine Tatsache”

Ludwig Wittgenstein

Ludwig Wittgenstein z chwilą swych narodzin w 1889 roku stał się najmłodszym członkiem jednej z najbogatszych rodzin w Europie. W cesarstwie austro-węgierskim bogatsi od nich byli tylko Rothschildowie. Urodził się w tym samym roku (sześć dni później), co Adolf Hitler, i chodził z nim do tej samej Realschule w Linzu. Był w trzech czwartych Żydem, najmłodszym spośród ośmiorga rodzeństwa i jak wszystkie dzieci w tej rodzinie został ochrzczony w Kościele katolickim.

Dzieciństwo miał wyjątkowe. Wszystko w jego otoczeniu było niezwykle. Pałac Wittgenstein w okolicy Karlskirche to jeden z niezliczonych wiedeńskich pałaców rodziny, pełnych dzieł sztuki i modnych mebli. W muzycznych salonach tych pałaców grali Johannes Brahms, Bruno Walter i Gustav Mahler. Wyposażony w absolutny słuch muzyczny Wittgenstein powie w wieku dorosłym, że muzyka kończy się wraz z Brahmssem, nawet jeśli odgłos samochodu będzie już u niego obecny. Portret ślubny jego siostry Małgorzaty został namalowany przez Gustava Klimta. „Obraz jest faktem”, napisze Wittgenstein w *Traktacie logiczno-filozoficznym*.

Wiedeń epoki *fin de siècle*’u był – według określenia Karla Krausa – miastem-laboratorium, w którym eksperymentowano ze sposobem zniszczenia świata. Imperium trzęszczało w szwach, poczucie apokalipsy było do tego stopnia odczuwane przez bardziej wrażliwych wiedeńczyków, że w kawiarniach jak miasto długie i szerokie wszyscy zgadzali się, że sytuacja jest rozpaczliwa. Czyli normalna!

Może dlatego na ćwierć wieku – ostatnie dziesięciolecie wieku XIX i lata tuż przed pierwszą wojną światową – Wiedeń stał się intelektualną i artystyczną stolicą świata. Nazwiska są znane, a lista błyskotliwych umysłów, które zamieszkiwały wówczas to miasto lub ku niemu grawitowały, jest zbyt długa, by ją tu przytoczyć. Trzeba raczej przywołać kilka wybitnych zjawisk. Zacznijmy od Freuda i jego psychoanalizy, przypomnijmy Macha

i Boltzmanna, bez których Einstein, profesor Uniwersytetu w Pradze w latach 1911–1914, nie osiągnąłby sukcesu, wspomnijmy Adolfa Loosa, pioniera modernizmu geometrycznego i funkcjonalnego w architekturze, oraz to, że muzyka XX wieku także rodzi się w Wiedniu dzięki Mahlerowi, Schoenbergowi i Albanowi Bergowi, że Klimt i Kokoschka wykorzystują nowe formy graficznego wyrazu, że literatura eksploduje za sprawą Musila, Schnitzlera, Hofmannstahla, a w końcu wskaźmy filozofów, którzy już po wojnie, właśnie dzięki *Traktatowi* Wittgensteina, stworzyli Koło Wiedeńskie.

Ci ludzie oraz osoby, o których będzie mowa dalej, żyli w mieście, które chowało się przed przeszłością i przyszłością za secesyjnymi fasadami i ornamentami. Żyło im się jednak u stóp wulkanu stosunkowo dobrze, cygańsko i hedonistycznie. Różnice klasowe były decydujące w pałacach i willach tego miasta, ale nie miały już większego znaczenia w kawiarniach.

Mówi się, że na krótko przed zamachem w Sarajewie w pewnej kawiarni socjaldemokrata Adler starał się przekonać hrabiego Bertcholda, ministra spraw zagranicznych, że wojna doprowadzi do rewolucyjnego wybuchu, który zacznie się w Rosji, ale nie ominie również imperium. Hrabia, elegancki i na luzie, pozwolił sobie zadać Adlerowi pełne niedowierzania pytanie, wskazując na jednego ze stałych bywalców lokalu, o którym wiedział, że jest uchodźcą z Rosji: „A kto poprowadzi tę rewolucję, pamiętaj, że pan Bronstein...”. Dla osób mniej obeznanych z nazwiskami figurującymi w dokumentach zawodowych rewolucjonistów uściślijmy, że pan Bronstein zasłynął po wielu latach jako towarysz Trocki.

! nie była to jedyna tego typu sytuacja. Lenin bywał często w Wiedniu, a Hitler, urodzony w Linzu, spędził tu około dziesięciu lat, próbując zostać malarzem i żyjąc z dnia na dzień ze sprzedaży akwarel i z pomocy społecznej. Oczywiście cała elita imperium, niezależnie od przynależności etnicznej, udawała się zwykle do Wiednia. Spośród Rumunów wspomnijmy Aurela C. Popovicia z Lugoju, który był bardzo bliski otoczeniu następcy tronu księcia Franciszka Ferdynanda i który przeszedł do historii jako autor projektu zarysowanego w książce *Stany Zjednoczone Wielkiej Austrii*.

Wiedeń Wittgensteina był okiem cyklonu, który zmiecie wesołą Europę Straussa i Lehara. Siłami nadającymi dynamizm temu ośrodkowi były nacjonalizm i antysemityzm. Większość ze wspomnianych osób to Żydzi, którzy nie chcieli być za Żydów uważani.

Theodor Herzl, który położył podwaliny pod ideę syjonistyczną, urodził się w Peszcie, ale w roku 1878, po śmierci jego siostry, rodzina przeprowadziła się do Wiednia. Jako student prawa, kierując się ideą emancypacji i asymilacji, dominującą wśród Żydów niemieckojęzycznych aż do pierwszej wojny światowej, Herzl został członkiem pangermańskiego bractwa Albia. Wciąż trwa spór, czy syjonizm Herzla rodzi się na skutek szoku po aferze Dreyfusa, czy też w wyniku objęcia władzy w Wiedniu w 1895 roku przez Karla Luegera, lidera Chrześcijańskiej Partii Socjalistycznej, pięknego Karla, który stworzył piękny i nowoczesny Wiedeń, ale który był też znany i kochany dzięki swemu gwałtownemu i zdecydowanemu antysemityzmowi. Pewne jest natomiast, że *Der Judenstaat* (Państwo żydowskie), książka, w której Herzl kładzie fundamenty pod syjonizm, ukazała się

w 1896 roku i wywołała ironiczną reakcję innego znanego wiedeńskiego Żyda, Karla Krausa, twórcy satyrycznego i polemicznego dziennikarstwa, który zechciał odpowiedzieć Herzlowi, publikując w 1898 roku broszurę *Eine Krone für Zion* (Korona dla Syjonu).

Nacjonalizm inspirowany rewolucją francuską stał się decydującym elementem mentalności politycznej po tym, jak został przyswojony przez angielski kolonializm i niemiecką filozofię imperatywu kategorycznego związanego z nieugiętością heglowskiego, duchowego determinizmu. Będąc ideologią użyteczną dla wielkich mocarstw, nacjonalizm przyjął formy podatne na psychoanalizę w licznych narodach dwugłowego imperium Habsburgów. Przywołany już Aurel C. Popovici wyraża we wspomnianej książce w możliwie najdoskonalszy sposób tę powszechną neurozę *kaiserlich und koniglich*.

Tym, którzy uważali, że sytuacja, nawet jeśli rozpaczliwa, to jednak nie jest normalna, a więc wymaga energicznego i szybkiego działania, federalizacja wydawała się jedynym rozwiązaniem. Jednak jak wynika z książki Rumuna z Lugoju, na drodze do federalizacji stały dwie trudne do przekroczenia przeszkody: tępota węgierskiego nacjonalizmu i agresywność kapitału żydowskiego. Jeśli próbujemy dokonać syntezy tych przeszkód, budując jeden obraz w duchu wybuchowej prasy tamtej epoki – a wszyscy, o których wspominałem, byli publicystami: Kraus stworzył słynną gazetę „Die Fackel”, Herzl pracował w „Neue Freie Presse”, a potem założył „Die Welt”, z kolei Popovici został skazany w Klużu za artykuł prasowy – to wróg federalizacji może być przedstawiony na obraz Żyda węgierskiego (ale nie tylko węgierskiego), który trzyma w ręku bogactwo imperium i prasę w dużych miastach.

Młody Wittgenstein nie mógł się czuć dobrze w takim otoczeniu. Spośród pięciu synów magnata Karla Wittgensteina to najmłodszy Ludwig wydawał się najbardziej uległy. Grzeczny i posłuszny, w wieku dziesięciu lat zdawał się przeznaczony do roli prawdziwego dziedzica swojego ojca. Jednak Karl miał bardzo silną osobowość i chciał, by wszyscy jego synowie szli w ślad za nim. Ani jeden z nich nie chodził do szkoły w pierwszych dziesięciu latach życia, każdy uczył się w domu, co miało ich ochronić przed niezdrowym wpływem zdeprawowanego systemu nauczania w cesarstwie. Nieszczęśliwie dla Karla synowie odkryli tym sposobem swoje prawdziwe talenty i pasje, raczej artystyczne niż techniczno-handlowe. Ojcowski perfekcjonizm w połączeniu z brakiem opieki ze strony matki o wyrafinowanej, ale niespokojnej osobowości stworzyły w rodzinie „stalowego człowieka” (Karl Wittgenstein kontrolował w cesarstwie produkcję stali) atmosferę bardzo kulturalną i humanistyczną, ale głęboko neurotyczną. Brahms, stały bywalec domu, zauważył, że członkowie rodziny zachowywali się w swoim towarzystwie tak, jakby cały czas byli na sali rozpraw.

Ta atmosfera bogactwa i władzy przyniosła w końcu fatalne skutki dla braci Wittgensteina. Najstarszy Hans był uważany za drugiego Mozarta. W wieku czterech lat grał na fortepianie własne utwory muzyczne. Malutki Ludwig, który pewnego wieczora obserwował z ukrycia muzyczne ćwiczenia brata, powiedział później, że obraz rozwichrzonego, spoconego i pochłoniętego grą Hansa pozostał mu w pamięci jako symboliczny wyraz geniuszu.

Próbując wydostać się z pułapki ojcowskich oczekiwań, w 1902 roku, gdy Ludwig miał 13 lat, Hans ucieka do Ameryki i ginie na statku, popełniając prawdopodobnie samobójstwo w zatoce Chesapeake. Dwa lata później, w roku 1904, w wieku zaledwie 23 lat, trzeci w kolejności syn Rudi, student chemii w Berlinie, popełnia samobójstwo w okolicznościach dużo bardziej spektakularnych. Oczarowany teatrem i opętany perwersyjnymi porywami, o których wspomina w zapiskach, prosi pianistę z ulubionego baru, by zagrał mu modną wówczas melodię: *Verlassen, verlassen, verlassen bin ich* („Opuszczony, opuszczony, opuszczony jak ja”), po czym wysypuje cyjanek do pełnej szklanki i spokojnie pije tak przygotowany *cocktail*. Ojciec Karl zakazuje całej rodzinie wspomniania kiedykolwiek imienia Rudiego. Kurt, który urodził się jako drugi, strzela sobie w głowę jesienią 1918 roku jako oficer cesarskiej armii, po tym gdy oddział odmawia wykonania jego rozkazów.

Nie ma harmonii również między najmłodszymi braćmi: Paulem i Ludwigiem. Pierwszy, grając na jednym z siedmiu fortepianów w pałacu Wittgenstein, krzyczy do malucha, który jest w sąsiednim pokoju: „nie mogę ćwiczyć, gdy jesteś w domu, bo czuję, jak pod drzwiami sączy się twoja nieufność”. A chodzi o grzecznego Ludwiga, postusznego Ludwiga, którego w wieku zaledwie dziesięciu lat niepokoi fundamentalne pytanie: „po co mówić prawdę, jeśli bardziej opłaca się kłamać?”.

Myśl nie jest genialna i możemy uznać za pożyteczne, że większość dzieci rozbudzonych umysłowo stawia sobie niekiedy takie pytanie w chwili strasznych doświadczeń, które wprowadzają je w dorosłość. To, co jest niezwykle w przypadku małego Wittgensteina, to upór i potraktowanie tego pytania serio. Przekształcenie go w program życia, początek poszukiwań, które potem nastąpią.

Pytanie to nie odnosi się do logiki, ale do problemu moralnego. Prawdzie sprzeciwia się kłamstwo, a nie fałsz. Biorąc pod uwagę takie wyjaśnienie, będzie nam łatwiej zrozumieć Wittgensteina z *Traktatu*, który wyprowadza problem moralny poza ramy uprawnionych poszukiwań filozoficznych. Pytanie dotyczące moralności nie jest dla autora *Traktatu* pytaniem filozoficznym, wyjaśnienie zaś ma związek z przekonaniem, a nawet z mistycznym oświeceniem Wittgensteina w wieku dziecięcym: „człowiek nie potrzebuje wyjaśnień intelektualnych, by poznać dobro – to poznanie jest mu dane od początku”.

Problemem nie jest poznanie dobra, ale posiadanie wewnętrznej siły do życia w oparciu o wiedzę, która ma naturę mistyczną. Tak więc jedyną kwestią, która pozostaje, jest wyjaśnienie, jak można dojść do absolutnej pewności. A to już nie jest problem etyczny, tylko logiczny.

Sam na sam z tym pytaniem w dusznej cieplarni rodziny, młody Wittgenstein ma pierwszą okazję do konfrontacji swego wewnętrznego niepokoju i niepewności z rzeczywistym światem dopiero w wieku 14 lat. To wtedy ojciec podejmuje decyzję, że najmłodszy syn, posłuszny i unikający sporów Ludwig, zostanie wysłany do szkoły technicznej w Linzu, Realschule, w celu zgromadzenia wiedzy niezbędnej do przejęcia dziedzictwa rodziny.

Trzy lata spędzone w Linzu są początkiem drogi przez mękę. Tam Wittgenstein mógł się spotkać z młodym Adolfem Hitlerem, choć nie ma co do tego żadnej pewności. Hitler był uczniem Realschule od kilku lat, a został z niej wydany w 1904 roku z powodu złych ocen. Wittgenstein przybył do Linzu w 1903 roku, a więc przynajmniej przez rok był kolegą szkolnym przyszłego Führera. Tenże, po śmierci ojca we wrześniu 1904 roku, wyprowadza się z Linzu i kończy szkołę w Steyr, po czym wyjeżdża do Wiednia, by spróbować szczęścia w stolicy. Łatwo jednak wywnioskować, że obaj mogli się ze sobą zetknąć w Linzu w roku szkolnym 1903–1904. Mieli mniej więcej po tyle samo lat, ale ich sytuacja szkolna była inna: Wittgenstein był początkującym uczniem, a Hitlerowi, uczniowi z problemami, niewiele pozostało do ukończenia nauki.

W każdym razie arystokrata Wittgenstein w Linzu nie zaprzyjaźnia się z nikim, a kolegów określa jednym słowem: „śmieci” (*Mist*). Również oni nie są nim zachwyceni, uważają go, jak wynika z wierszyka, którym go dręczyli, za pomyłkę z głową w chmurach: *Wittgenstein wandelt wehmütig widriger winde wegen Wienwärts* („Wittgenstein jest wiecznie zawiany marzeniami o Wiedniu”). Jego oceny szkolne nie są o wiele lepsze niż jego domniemanego kolegi Adolfa, ponad przeciętność wykraczają tylko w przedmiocie religii. Egzamin z niemieckiego Ludwig oblewa z powodu błędów ortograficznych. Wbrew tym raczej skromnym szkolnym pozorom w duszy młodzieńca z Wiednia zachodzą decydujące zmiany. Kryzys religijny, owocujący, jak można wnioskować, utratą wiary w Boga, żywi się lekturami pozostawiającymi głębokie ślady. Jeśli nawet najbardziej znana książka Schopenhauera, *Świat jako wola i przedstawienie*, polecona przez Gretlę, jedną z trzech starszych sióstr, nie wyrze na nim długotrwałego i wielkiego wpływu, to już słynne dzieło *Płec i charakter* Otto Weininger decydująco i definitywnie ukształtuje sposób życia i myślenia przyszłego filozofa, którego podziwiał i obawiał się sam wielki Bertrand Russell.

Otto Weininger nie był byle jakim autorem tekstów filozoficznych. Miał zaledwie 23 lata, gdy położył kres swojemu życiu w tym samym wiedeńskim mieszkaniu, w którym zmarł Beethoven, człowiek wielbiony przez niego jako absolutne wcielenie geniuszu. Weininger, syn bogatego wiedeńskiego jubilera, uosabiał z kolei bezwiednie intelektualną osobowość miasta nękanego fantomami przeszłości i zagrożeniami przyszłości. Urodzony w 1880 roku, niespełna dziesięć lat starszy od Wittgensteina, studiował filozofię, psychologię i medycynę, a w 1902 roku przeszedł na protestantyzm, zaprzeczając tym gestem swemu judaistycznemu pochodzeniu, podobnie jak wielu ówczesnych Żydów w dwugłowym cesarstwie. Jednak w jego przypadku gest ten miał charakter zasadniczy, nie był tylko pochodną pragnienia asymilacji i zdobycia akceptacji. Syndrom Żyda, który nienawidzi samego siebie za swoje korzenie, pojawia się na terenie Niemiec w drugiej połowie XIX wieku jako rezultat napięć związanych z integracją wspólnoty żydowskiej w kulturze niemieckiej i jest skrajną reakcją na to, co jeszcze za życia Weiningera przybierze postać idei syjonistycznej. Termin został spopularyzowany przez książkę innego Żyda, Theodora Lessinga, *Der Jüdische Selbsthass* (*Nienawiść Żydów do samych siebie*), wydanej w 1930 roku, wiele lat po samobójstwie Weininger.

Zasada została sformułowana w jedynej, słynnej i wpływowej pracy udręczonego młodzieńca – *Płeć i charakter*. Książka ukazała się w 1903 roku i z początku przeszła niezauważoną, a autor został nawet oskarżony o splagiatowanie studium profesora Lipsca o fizjologicznej niewydolności kobiety. Po niemal rytualnym samobójstwie Weiningera popularność jego dzieła zaczęła niepostrzeżenie rosnąć, aż *Płeć i charakter* stała się podstawową lekturą młodych ludzi szukających drogi duchowej w rozbawionej i nieobyčajnej stolicy u stóp wulkanu.

Strindberg uważa, że filozof wiedeński rozwiązał fundamentalny dla ludzkości problem kobiety. Idee tej książki stały się dla całych generacji młodych intelektualistów nieco tajemniczą i utrzymaną w sekrecie strawą duchową. Myśl przewodnia jest prosta, choć została potraktowana rozwlekłe i pretensjonalnie: człowiek to istota, w której trwa konflikt wewnętrzny między pierwiastkiem żeńskim a męskim, a te dwa składniki determinują charakter osoby. Jak należało oczekiwać, wypłynęła z tego cała seria wniosków, które dziś kwalifikujemy jako antyfeministyczne i antysemitowskie, a które zbiegają się w dramatycznym i zarazem kategorycznym stwierdzeniu finalnym: „życie zasługuje na to, by było przeżyte, tylko w tej mierze, w jakiej ucieleśnia geniusz, z definicji męski i europejski, w poszukiwaniu absolutu”.

Rozumiemy jednocześnie zarówno radykalny gest Weininger, jak i nieodpartą atrakcyjność owego bezkompromisowego myślenia w poszukiwaniu absolutu dla młodego Wittgensteina.

Potwór w Cambridge

„My german friend threatens to be an infliction”

Bertrand Russell do Lady Ottoline Morell

Wittgenstein przybywa do Cambridge 18 października 1911 roku. Niezapowiedziany, udaje się prosto do pokoju Russella w Trinity, gdzie ten pije właśnie herbatę z C.K. Ogdenem, który potem pierwszy przetłumaczył *Traktat* na język angielski. „(...) nieznany Niemiec mówiący bardzo słabo po angielsku, ale odmawiający rozmawiania po niemiecku. Dowiedziałem się, że studiował inżynierię w Charlottenburgu, wykazując pasję do filozofii i matematyki, a teraz przyjechał do Cambridge, by słuchać mnie” – opisuje go Russell w liście do swojej ówczesnej ukochanej, Lady Ottoline Morell. Wiele jeszcze dowiemy się o Wittgensteinie z tej korespondencji, więc jego ewolucja od ucznia do myśliciela, która jednocześnie będzie przytłaczać i irytować Bertranda Russella, zostanie w ten sposób bardzo intymnie udokumentowana.

Wcześniej jednak byłoby dobrze, gdybyśmy cofnęli się nieco w czasie i odnaleźli młodego Ludwiga tam, gdzie go pozostawiliśmy, gdzieś na początku trzyletniego pobytu w Linzu, między Weiningerem a ojcowskim pragnieniem, by zdobywał specjalizację w dziedzinie techniki, konieczną do przejęcia rodzinnego dziedzictwa. Cztery lata studiów technicznych poprowadziły go od Berlina do Manchesteru, od aeronautyki i meteorologii do podstaw matematyki.

Nie chodziło tylko o studia matematyczne, bo była to epoka głębokiego kryzysu tożsamości, w której nic już nie wydawało się pewne, a fundamenty we wszystkich dziedzinach nauki i życia stawały się dyskusyjne. Forma została zastąpiona wrażeniem i wyobrażeniem, melodia – dysonansem, metoda racjonalna zaproponowana przez Kartezjusza i umocniona przez Kanta była wypierana przez alternatywne formy poznania, a pośród nich przez intuicję Bergsona lub głęboką wyobraźnię Freuda, które usiłowały bezskutecznie ustanowić normę. Cechy osobowości, ale również pewien szczęśliwy zbieg okoliczności, poprowadziły Wittgensteina w kierunku matematyki: czyta Russella i Fregego, co okazuje się decydującym, a zarazem dramatycznym doświadczeniem. Znajdując się – jak sam wyznaje – „w ciągłym, prawie patologicznym stanie trudnego do opisu podniecenia”, latem 1911 roku składa wizytę Gottlobowi Fregemu w Jenie. Autor *Podstaw arytmetyki*, „pedantyczny człowieczek z ostrą bródką, która podkreślała jego słowa”, zgasił młodego zapaleńca, proponując mu, by najpierw odbył studia u Russella, a dopiero potem wrócił.

Niewiele myśląc, Wittgenstein wpada nagle w październiku do pokoju Russella w Trinity College, stawiając autora *Zasad matematyki* w bardzo kłopotliwej sytuacji. Nie spodzianie przybyły Austriak zaczyna uczęszczać na wykłady Russella i w ciągu niespełna miesiąca przekonuje go o swym geniuszu. Z wolna, ale nieubłagane relacja między nimi przechyla się na korzyść ucznia, który staje się bardzo szybko prawdziwą atrakcją w wyrafinowanym środowisku Cambridge i przedmiotem zainteresowania wszystkich osób z otoczenia Russella.

Pozostaje jednak pytanie fundamentalne: jaki jest problem Wittgensteina, powód jego gorączkowych poszukiwań, co spodziewa się znaleźć w logice i matematyce?

Odpowiedź na to pytanie jest aż nazbyt oczywista. Jak bowiem wiadomo, osadzanie i eksponowanie cennego obiektu wśród przedmiotów zwykłych stanowi najlepszy kamuflaż. Banalność ożywa w ilości, rodzi się z potencjalnie nieskończonego powtarzania, ofiarowując w ten sposób doskonałe złudzenie nieśmiertelności. Ilość, powtarzalność, pospolitość, banalność to domena zjawiskowości, tego, co jest widziane, tego, co jawi się zmysłom. Zjawiskowość jest dziedziną istnienia przez ilość. *Par excellence* nieorganiczną. Rozumienie wyjątkowości pojawia się późno, dopiero w epoce współczesnej, na skutek przejęcia, często błędnego wobec ich pierwotnego znaczenia etymologicznego, pewnych terminów z greki i łaciny przez języki współczesne. Przeciwnością zjawiskowości jest w sensie etymologicznym platoński *eidolon*, idea jako przedstawienie, odbicie tego, co się pojawia.

Następnym krokiem prowadzącym do rozróżnienia między zjawiskowością jako banalnym wydarzeniem zmysłowym a jej subiektywną percepcją przefiltrowaną przez język jest kantowski *noumen*. Termin wprowadzony przez myśliciela z Królewca odsyła jednak do *esencji*, pojęcia łaćnińskiego zbudowanego jako imitacja greckiego *ousia*, które wskazuje byt jako coś, co jest obecne, i tylko tyle. Obecność jest jednak w pierwszym jej rozumieniu sposobem, przez który byt narzuca się nam jako zjawisko zauważone przez nasze zmysły oraz przyjęte, oszacowane i uporządkowane przez umysł.

Inaczej mówiąc, filozofia uprawiana od czasów greckich jawi się nam jako perwersyjna gra wymyślona z konieczności, by umysł ludzki przetwarzał nieskończoną banalność istnienia. Napięcie rodzi się z unikalności każdego poszczególnego ludzkiego subiektywizmu i nieskończonego banału zjawiskowości, w którym człowiek jest zmuszony żyć. Jak już wspominałem, chodzi o niemożność sprecyzowania i zaprezentowania tożsamości w sytuacji, w której jakaś istota, postrzegająca się refleksyjnie jako unikalna, stara się przywłaszczyć sobie nieskończony banal.

Młody Wittgenstein wyrażał w najdoskonalszy sposób, samą swoją osobą, sposobem odczuwania i myślenia, ową niemożność realizacji i wyimaginowania sobie tożsamości. Jego żydowska przynależność etniczna jest problematyczna zarówno biologicznie (jego babka ze strony matki miała katolickie pochodzenie austro-słoweńskie), jak i na skutek jasnej orientacji rodziny na asymilację, widocznej już w pokoleniach jego dziadków i pradiadków. Nawet jeśli wydaje się, że tożsamość etniczna nie była wielkim problemem dla młodego Ludwiga, to tożsamość religijna (oficjalnie Wittgensteinowie byli katolikami), na skutek nieuchronnej konfrontacji z problemem boskości, doprowadziła go do pierwszego kryzysu tożsamości, udokumentowanego w listach i świadectwach jego sióstr. Utrata naiwnej dziecięcej wiary następuje w czasie, gdy Ludwig był uczniem w Linzu, i prowadzi go wprost ku idealizmowi epistemologicznemu Schopenhauera.

W okresie dojrzewania musiała się również pojawić wielka i burzliwa kwestia tożsamości seksualnej, jak wskazuje niezwykle uznanie, jakim młody Wittgenstein darzył dzieło Weiningera. To uznanie nie zniknie całkowicie nigdy, a brytyjscy studenci Cambridge będą zdziwieni i nieco zakłopotani uporem, z jakim dziwaczny Austriak polecał im swojego rodaka, którego oni z kolei uważali za co najmniej egzaltowanego, a z całą pewnością – za mrocznego spekulanta.

Był jeszcze problem statusu społecznego i tożsamości zawodowej. Wittgenstein miał w tej sprawie od początku wielkie wątpliwości. Nie uległ, jak bracia, skłonnościom artystycznym i muzycznym, choć widać było, że ma zarówno talent muzyczny – rzecz zwyczajna w tej rodzinie – jak i niezwykle zdolności w dziedzinie form. Po intensywnych i obiecujących studiach inżynierskich w Berlinie i Manchesterze porzuca tę dziedzinę wiedzy, poświęcając się wyłącznie filozofii. Spędza trzy burzliwe lata w Cambridge w niepowtarzalnej roli studenta-profesora, a potem wraca do kraju, by zostać przykładnym żołnierzem Wielkiej Wojny, która wybuchła latem 1914 roku. Podczas lat spędzonych na różnych frontach, na które kierowała go armia cesarsko-królewska, zdołał ukończyć *Traktat*, a po wojnie zajął się publikacją swego dzieła, zrezygnował z kolosalnego spadku, którym mógł dysponować po śmierci ojca, skończył kurs nauczycielski i wyjechał w austriackie góry, by uczyć czytania i pisania latorośle ludzi oderwanych od dobrodziejstw cywilizacji wiedeńskiej.

Nie przejmując się zbytnio sławą otaczającą go coraz bardziej po publikacji *Traktatu*, pozostaje w Austrii do 1929 roku, opuszczając posadę nauczyciela po nieprzyjemnym incydencie z 1926 roku, gdy pobił wyjątkowo tępego ucznia. Przez następne trzy lata pracuje jako ogrodnik i bierze udział w kilku spotkaniach Koła Wiedeńskiego, na których

był ubóstwiany, ale – co najważniejsze – pracuje jako architekt w wiedeńskim domu swojej siostry Małgorzaty. Budynek, dziś ambasada Bułgarii w Wiedniu, stanowi przeobrażenie *Traktatu* w formę z kamienia i betonu, jest strukturą elementarną i czystą, cyzelowaną w nieskończoność, prawdziwym dziełem sztuki minimalistycznej, w którym – co łatwe do przewidzenia – nie da się mieszkać. „Nie interesuje mnie samo budowanie, ale znalezienie podstaw do zbudowania wszelkiego możliwego budynku...” – miał powiedzieć jako architekt.

Do Cambridge wraca w 1929 roku. Keynes mówi przy tej okazji żonie: „Wreszcie przychodzi Bóg. Będę czekał na pociąg o 5.15”. Powracając w wieku 40 lat do lubieńskiego środowiska akademickiego międzywojennego Cambridge, Wittgenstein budzi się w bardzo niezręcznej sytuacji: znajomi pamiętają go jako najbardziej znaczącego myśliciela w ich życiu, a jednocześnie według reguł akademickich jest w sytuacji studenta-stypendysty. Doktorem filozofii staje się dopiero na skutek zabiegów Russella i Moore’a, którzy naciskają na władze uniwersytetu, by uznały *Traktat* za pracę doktorską. Obrona odbywa się nietypowo: dwóch uznanych filozofów patrzy jeden na drugiego, zachęcając się nawzajem do stawiania pytań, na co Wittgenstein odzywa się w swym nie do podrobienia stylu: „Nie róbcie sobie tylu problemów, zdaję sobie sprawę, że nigdy nie zrozumiecie”.

Stając się *fellow* w Trinity, zostaje wkrótce w Cambridge „kobietą z brodą”, ciekawostką, o której nikt nie wie, co myśleć, ale wszyscy są przekonani o jej wyjątkowości. Ponieważ na jego wykłady mało kto chodzi, Wittgenstein na dość długo wycofuje się do Norwegii, gdzie uczy się języka duńskiego, by czytać Kierkegaarda w oryginale, ale po Anschlussie w 1939 roku zostaje obywatelem brytyjskim. Podczas wojny pracuje jako portier i goniec w szpitalu, odmawiając wykładania filozofii i prosząc tych, którzy znaleźli mu posadę, by nie ujawniali pracownikom szpitala jego tożsamości.

Tożsamość jest więc głównym problemem, o którym myśli Wittgenstein. Ciągłe jej poszukiwanie nie daje mu spokoju, nie pozwala na odpoczynek, a najbardziej męczące jest to, że nie przynosi nawet częściowych rezultatów. Stałe towarzyszy mu myśl o samobójstwie, a chwil pogodnych całkowicie brakuje.

Największym problemem, jaki mamy z tożsamością, jest to, że nie istnieje, a jeśli jednak istnieje, to nie może być doświadczona, a więc nie może być ani sformułowana, ani wyrażona. Tożsamość jest wiecznym pytaniem, na które odpowiada się tym samym pytaniem, jest jedyną odpowiedzią nieskończonej istoty na pytanie dotyczące jej bytu. Pytanie pochodzące z tego, co skończone, nie ma przełożenia na nieskończoność, więc co odpowiada ta istota na pytanie, kim jesteś? *Jestem tym, kim jestem*. To pełna tautologia w sensie etymologicznym (*to auto logos*), a więc przejmowanie i powtarzanie tego, co zostało już powiedziane. Innymi słowy, jest to pełna arytmetyka metafizyczna, arytmetyczne działanie unikalne i niepowtarzalne, w ramach którego przez dodanie jedności nie otrzymujemy podwójnej liczby, tylko absolut zadeklarowany, ale niemożliwy do doświadczenia.

Tożsamość ukazuje się nam w dwóch formach i jednej relacji. Owe dwie formy to tożsamość tego, co odmienne, i tożsamość samego siebie, a relacja zachodzi między dwoma powyższymi – mowa o tożsamości tej relacji. Przez takie sformułowanie znajdujemy się w pełnej nieskończoności: jakakolwiek odpowiedź z którejkolwiek ze stron rodzi nowe pytania.

Odpowiedź Wittgensteina na złożoność tych problemów, jego macedoński gest wobec metafizycznego węzła gordyjskiego, była tak samo zdecydowana i destrukcyjna, jak gest Aleksandra Wielkiego. Po tym, gdy dodał mu odwagi cytaty z Kürnbergera, znanego wiedeńskiego dziennikarza z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX wieku, głęboko zaniepokojonego brakiem tożsamości wiedeńczyków i w ogóle Austriaków: „wszystko, co człowiek wie i co nie jest tylko hałasem w uszach, może być wyrażone trzema słowami”, formułuje pierwsze twierdzenie *Traktatu*: *Die Welt ist alles, was der Fall ist*.

Ponieważ jesteśmy w trakcie rozważań pytania o tożsamość, musimy zaakceptować niemożliwość pełnego przełożenia myśli z jednego języka na drugi. Pomimo to tłumaczenie jest niezbędne, gdy mamy na względzie, że oddalenie i różnica między dwoma językami jest do pominięcia wobec różnicy między tym, co skończone, a tym, co nieskończone, ponieważ języki należą do skończoności zupełnie jak istoty, które się za ich pomocą wypowiadają. Po rumuńsku można zaakceptować formułę: *Lumea este tot ce se intampla* („Świat jest tym, co się wydarza”). Choć nie wyraża ona w pełni nieskończoności kryjącej się w niemieckim słowie *der Fall*, to jednak również tłumaczenie angielskie nie broni się lepiej, mimo że zostało zaakceptowane przez samego Wittgensteina: *The World is everything that is the case*.

Główna pierwszej sentencji rozwiewa się trochę, jeśli uzupełnimy ją o sentencję drugą: *Świat to całość zdarzeń, a nie przedmiotów*. Przypomnijmy, że tożsamość w sensie filozoficznym nie odnosi się do czegoś innego, co jest takie samo, nie jest *idem* – wyrażenie łacińskie, z którego pochodzi to pojęcie – a wręcz przeciwnie, jest dużo bliższa uświadomienia sobie własnej osobliwości. Nie odnosi się więc do przedmiotów wyzbytych tożsamości, które unikalne są co najmniej wśród ilościowej mnogości.

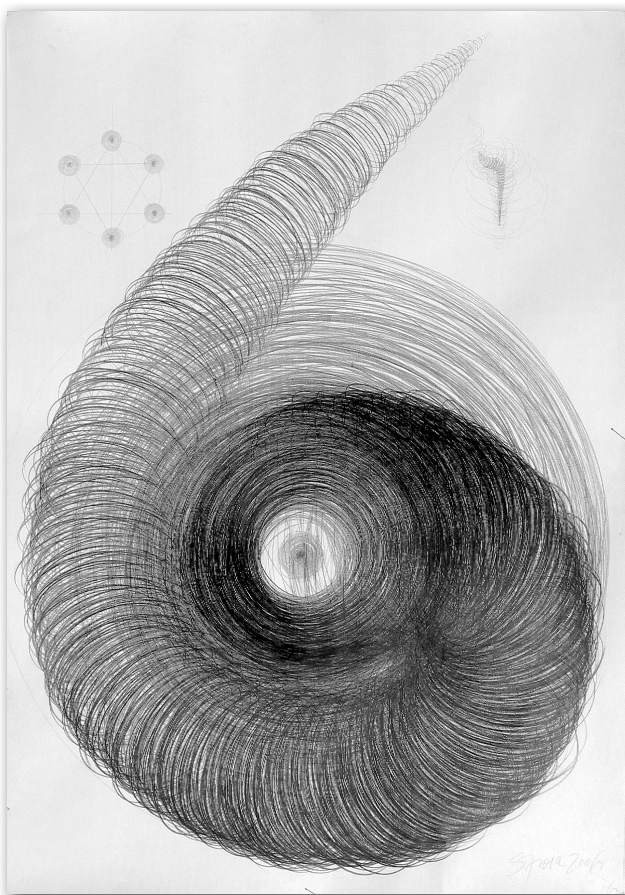
Wittgenstein w jego rozpaczliwej próbie sformułowania doskonałego pytania filozoficznego w kwestii tożsamości pozostaje zamknięty w pułapce języka. Próbuje znaleźć wyjście, odwołując się do dziedziny, która wydaje mu się na wyciągnięcie ręki i która ponadto była w modzie – do badania nad podstawami matematyki i logiki. *Traktat* jest rezultatem tej nieudanej próby.

Tworzenie logicznej tożsamości przez stawianie postulatu tautologicznego jest podstawowym gestem intelektualnym, powtarzaniem w nieskończoność tożsamości objawionej Mojżeszowi, *Jestem który jestem*, bez stawiania szczególnych problemów do rozwiązania. Tyle że jeśli Wittgenstein zdaje sobie sprawę z tego problemu od początku, to tożsamość logiczna nie zastępuje tożsamości metafizycznej. Używamy tu tego terminu w jego podstawowym znaczeniu: jako określenia czegoś, co ogarniając naturę, świat przedmiotów i zmysłów – *physis* – jest dużo więcej niż przedmiotowe, zmysłowe i w końcu materialne.

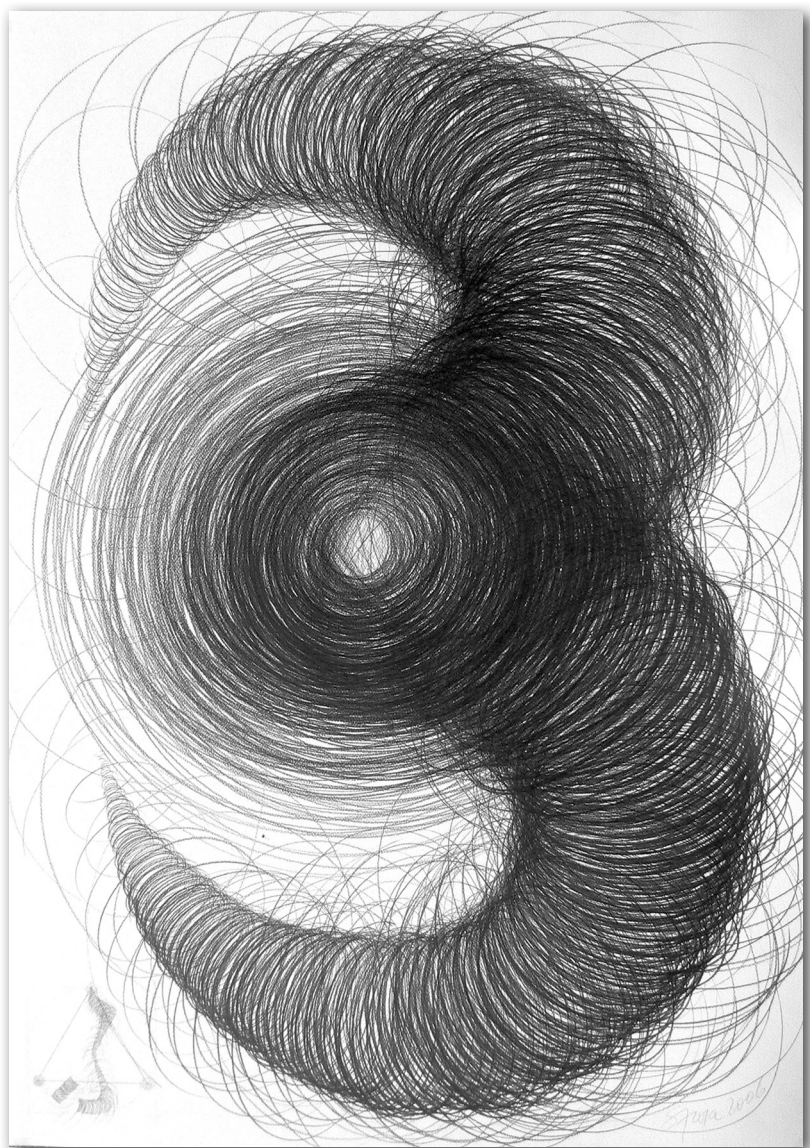
Z tego właśnie powodu drugie twierdzenie *Traktatu* jest tak uderzające: *Świat nie jest światem przedmiotów, tylko zdarzeń!* I nawet jeśli przedmiot jest ostatecznym bytem egzystencjalnym, świat nie może nam się jawić jako świat przedmiotów, tylko zdarzeń, dokładniej mówiąc: stanów rzeczy. Zdarzenia w przestrzeni logicznej – oto jak wygląda świat Wittgensteina z początku *Traktatu logiczno-filozoficznego*.

U końca tego eseju zobaczymy istotę dramatu. Najpierw powiedzmy tylko, że zarówno w języku niemieckim (*tatsachen*), jak i w większości języków europejskich pojęcie zdarzenia wskazuje na odesłanie do interwencji z zewnątrz. Innymi słowy, zdarzenie jest rezultatem jakiegoś czynu (*tat*), więc zakłada istnienie kogoś, kto go dokonuje (*Tater*).

Inaczej mówiąc, wyjaśnieniem zdarzenia jako czynu wyrażonego w języku jest metafizyka.



Iosif Stroia – *THE SIXTH DOOR* – Pencil on cardboard – 70x100 cm – 2006



Iosif Stroia – *THE THIRD DOOR* – Pencil on cardboard – 100x70 cm – 2006